

W. Makowski



Baśń puszczy  
Białowieskiej

















# BAŚŃ PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

POEMA NAPISAŁ WACŁAW MAKOWSKI

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI. — MCMII.











# BAŚŃ PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

POEMA NAPISAŁ WACŁAW MAKOWSKI

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-350 Warszawa  
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI. — MCMII.



2098



CZĘŚĆ PIERWSZA ❁ ❁  
Z KSIĘGI WYROKÓW







A rzekł Pan do niego: «Zbudź się!»

«Zbudź się i zstąp na ziemię i obejdz dawne włości twoje i obacz, jako żyją synowie twoi, azali żyją jeszcze, azali śmiercią nie pomarli?»

«Czy cnota i zapał nie wygasły w sercach ich, czy nie schylili czoł dumnych w pokorze przed gwałtem i przemocą?»

«Czy w bólu nie skonała dusza ich, czy nie czczą bałwanów jakich ziemskich, czy się nie modlą u tronu królów przeklętych?»

«Idź, obacz!»

I rozpostarł Duch skrzydła białe i szedł, podobny Chrystusowi na krzyżu, cały srebrzysto-biały, zarumieniony purpurowym odblaskiem zórz, co wschodziły.

Płynął ponad ziemią i ponad krajem swym, a potem zstąpił i obchodził pałace i chaty, jak upiór stawał we drzwiach i popod oknami.



I widzieli i czuli ludzie obecność jego i mówili w sercu swoim:

«Oto zstąpił z nieba Duch nasz, Duch narodu naszego, biały, obłany jasnością zórz wschodzących.

«Oto nadeszła godzina, abyśmy powstali orężem zbrojni i pomścili śmierć ojców naszych i braci i niewolę naszą.

«Oto stawa popod oknami naszemi Duch on i pyta: — Azaliż zapomnieliście o mnie?

«Czyż pozostawimy zamknięte drzwi domów naszych?— niechaj się przed nim roztworzą na ściężaj domy nasze i dusze i serca nasze.

«Niech wstąpi w nas i niech powie nam, co czynić mamy, ażeby jemu lepiej było i nam lepiej było.

«Bo snąc ciężki pędzi żywot, skoro jak upiór błądzi po ugorach i do drzwi i okien naszych kołata i skarży się wyciem wichrów jesiennych.

«Snąc boli go hańba jego i niedola nasza, skoro z niebiosów ku nam zstępuje i we snach nam się jawi jego twarz błada.

«Otwórzmy więc przed nim serca nasze i wprowadźmy





go w dusze nasze, niechaj on powie nam, co czynić mamy, aby dolę lepszą dlań i dla siebie pozyskać.

«Bo oto na karki nasze wtłoczono jarzmo niewoli, oto zaprzągnięto nas do pługą i cudzą rolę kazano nam orać i potem swoim i krwią swoją rosić.

«A naszą rolę zabrano, ogniem spalono zasiewy na roli naszej, w pustynię ją zamieniono i oblano krwią braci naszych zabitych.

«Bo oto my jesteśmy raby podłe, my, co niegdy panami byli, musimy służyć i chylić karki i rany knutami zadane, na plecach swoich mamy».

I tak mówili między sobą ludzie owi i otwierali dusze i serca przed Duchem, a on wchodził w nie i nauczał jako czynić mają — —

---

I szedł tak Duch on przez pola ugorne i przez miasta ludne, a kędy spotkał ludzi, wstępował w serca ich i nauczał.

I wielu spotkał na drodze swej, co posłuszni mu byli i gotowi iść za nim wszędzie, kędy ich powiedzie, i służyć mu i krew zań przelać.

---

---



Aż oto spotkał Duch starców siwych, latami pochylonych, o których wiedział, że wodzami narodu być mają, i mówił do nich.

A oni ponuro siwemi kiwali głowami, jako że nie było w nich wiary, aby dokonali dzieła świętego, o którym Duch mówił.

Serca ich pełne były miłości, ale nie było zapału i wiary i nadziei.

Więc smutno było Duchowi, że nie wierzą w zmartwychwstanie jego, ale szedł dalej nie wątpiąc.

I oto spotkał ludzi, którzy z lękiem uciekali odeń i szczerze zamykali przed nim serca swoje, albowiem brudne były.

Schylili ludzie owi czoła przed potęgą ziemską i przed potęgą złota i odstępili Ducha, bo nie wierzyli weń i nie mieli dlań miłości.

Trwogą przejmował ich ten Duch zmartwychwstały i uciekali odeń, jak zbrodzień ucieka od zbrodni swojej widoku.

I jeszcze smutniej było Duchowi, że dzieci odstępują go i zdradzają, ale szedł dalej nie wątpiąc.





I oto spotkał ludzi, którzy patrzyli nań zadziwieni, jakby nie wiedząc, kto zacy jest.

A kiedy mówił im: «Azali nie poznajecie mię?»

«Jam jest Duch narodu waszego. Bóg zesłał mię na ziemię, abym przyniósł światło zmartwychwstań»;

Oni poglądali nań obojętni, albowiem zapomnieli już byli przeszłości; pleśnią zieloną pokryły się robacze dusze ich i dobrze im było w niewoli.

I jeszcze smutniej było Duchowi, że dzieci zapominają już o nim, — ale szedł dalej.

A Pan poglądał z niebiosów i widział wszystko i powiedział w sobie:

«Nie nadeszła jeszcze godzina, abym wywiódł z niewoli naród ten, nie są jeszcze wzmocnione siły jego.

«Wszakże niechaj podniosą się ci, co wierzą, niechaj walczą i niechaj przyniosą ofiarę odkupienia;

«A chocia słońca zmartwychwstań ujrzeć im nie będzie dano, to przyjdzie jego nie o jeden dzień wszak przyśpieszą.



«Powstaną oni, jako wstają fale morskie, kiedy się nad niemi wicher burzliwy rozsroży.

«Z jękiem i rykiem idą straszne i niepowstrzymane i piętrzą się i błyskają białemi grzywami biją straszne i wściekłe o skały granitowe.

«I nie jedna skała padnie pod naporem fal i nie jeden okręt, co się grzbiety ich bruździć poważył, utonie w paszczy rozwartej.

«Ale brzegi ostaną niewzruszone, sił morzu zabraknie, wicher burzliwy przeleci, i ono w dawne powróci łożysko.

«I powstanie naród on, jak Tytany — i jak Tytany powalony legnie.

«Niepomny na nic, pójdzie pełen rozpacz i walczyć będzie i mścić się za swego Ducha poniewierkę i hańbę, za swoją krzywdę i niedolę.

«Pójdzie, owiany rykiem gromowym, oblany światłem czerwonych błyskawic.

«A kędy stąpi, krew będzie, a za nim stada zgłodniałych kruków lecą.



«I będzie to dzień bohaterów, ale nie bohaterstwa;  
i będzie to dzień zwycięstw wielu, ale nie zwycięstwa».

Tak mówił Bóg w sobie, ale Duchowi nie rzekł nic.  
Więc dalej obchodził on pałace pańskie i chaty że-  
bracze.

Aż przyszedł oto na ziemię Litewską, w krainę puszczy  
i borów dziewiczych — —







CZĘŚĆ DRUGA

DUCH ❖ ❖ ❖ ❖







Upalne lipcowe popołudnie. Polana w odwiecznym nieprzebytym lesie. Na prawo gąszcze, kędy nie dochodzą nigdy słoneczne promienie, mrok i wilgoć. W głębi przez wyrąb otwiera się widok na rżyska i ugory. Cisza; od czasu do czasu przetacza się po koronach powiew wiatru. — Niby mistrz-wirtuoz, próbując instrumentu, dobywa on oderwane, nie powiązane w pieśni tony i akordy i napełnia słuchaczy uczuciem nerwowego, męczącego oczekiwania. — Niby ptak potężny, zanim do lotu się wzbije, uderza skrzydłami ciężko i powoli, jakby próbował ich siły, czy go uniosą jeszcze, czy nie zawiodą? — za chwilę wypręży je i wzleci, — za chwilę pieśnią wichru potężną rozebrzmieje puszcza. A teraz cisza panuje i melancholia brzemienna, w sobie skupiona i zapatrzona w siebie.

Od ugorów płynie postać jakaś widmowa; starzec, ale z tych, co nie umierają nigdy, bogów potomek. Szaty na nim podarte w strzępy, kolce głogów i cierni tkwią w nich, jedna gałąź cierniowa jak korona winie mu się wkoło głowy i czoło krwawi. Na twarzy smutku i bólu pełnej wyraz wielkiej dumy i powagi. Płynie, a drzewa, jakby hołd mu składały, głowy pochylają przed nim. Czasem się rozlegnie wróżebne kruka krakanie, czasem jastrzębia przenikliwe gwizdnięcie. I znowu cisza. A Duch płynie, witany przez chylące się drzewa — — —

---

DUCH.

Powstałem z grobu duch i przez ugorny  
idę szlak,  
nademną jakiś czarny ptak,  
żer trupi wietrząc, kracze;

---



idę ja zmarły i upiorny  
ogładać dzieci me — tułacze,  
ogładać ciało me gnijące — — —  
Jam niegdyś dumną dłonią  
sięgał nad chmury, tam gdzie słońce,  
gdzie złote gwiazdzice  
się płonią —  
— dzisiaj upiorne mam lice —  
jam niegdyś w złotą zakuty zbroicę,  
do ramion orle przyczepiwszy skrzydła,  
jak huraganne pędził nawałnice  
przez świat, po drodze  
śmierć szerząc i strach,  
i każdy drżał w trwodze — — —  
Na krwawych, piorunowych skrach,  
w ponurą czarnych chmur odzian opończę,  
pamiętam — chodzę,  
i świat w pokorze gnie się prawie cały;  
albo lilijnym opleciony wieńcem,  
ozdobion świtów złocistych rumieńcem,  
jak biały ptak,  
jak świętej prawdy znak  
leciałem, niebo skrzydła gończe  
w krąg obiegały — — —  
Dziś barwy szat moich spłowiwały,  
Szczerbce w zagonach zardzewiałe leżą,  
a ja umarły, grzyb mię pokrył pleśnią — — —  
i w zmartwychwstanie moje ludzie już nie wierzą;



przebrzmiały tony mur kruszącej pieśni,  
przebrzmiały na wieki — — —  
kamieniem zmarłe nakryto powieki,  
gwoźdźmi przybito mieczowładne ręce,  
gdzieś, z uralskiego przytoczywszy szczytu  
odłam granitu  
piers przywalono; — skonałem — — —  
— skonałem — piekiel oddan męce  
duch mój się w ogniu czyszczącym omywa —  
Czasem przychodzi na mię dzień zaduszny,  
a wówczas dawnem ozdobiony ciałem  
na ziem zstępuję — — — jak żywa  
postać ma po ugorach błądzi —  
i przypominam przeżywane chwile,  
trwogą przejmuję niesromne zabójce — — —  
jako Bóg-sędzia, co wszystkich osądzi,  
dzieci me sądzę; jako księżę stawam,  
tronem mi granit, złożon na mogile —  
Stawam i rękę na krzyżu oparłszy  
wołam na sąd swój i dzieci i ojce —  
idą kolejno, kto starszy — — —  
Stają, — bolesne mają oblicza, —  
starcy ku ziemi chylą siwe głowy,  
młodzieńcy wznoszą pełne żaru oczy,  
kobiety leją łzy — — —  
Ja stoję— wzrok w tarczę słońca utkwiłem i mówię,  
klnę, z niebios przyzywam pioruny:  
«Wy, winy pełni, — tam szatan oblicza





«grzechy, słaboście, zbrodnie, zdrady wasze,  
«tam Chrystus patrzy na was i krwią broczy,—  
«ja, waszych losów przeczytawszy runy,  
«piorunowemi będę słowy  
«dusze wam targał, nurzał w krwi — — —  
«wyście koronę wszak mieli na głowie,  
«w ręku stalowe mieliście pałasze,  
«wyście panami byli — raby — — —

— — — Zmilkłem — ja winien, ja słaby, —  
nie mogę sądzić, z nimi razem płacze,  
wszyscy jednak jesteśmy tułacze — — —

---

Leżę, powalon na ziem, leżę,  
a kruki mię obsiadły dookoła,  
przychodzi różne trupiożerne zwierzę  
i krąży głodne — — —  
Słyszę skrzyp dziobów ostrzonych o ziemię  
i wilków wycie —  
ja leżę, zbawion mogilnego doła,  
powietrze truje trupa mego gnicie — — —  
— — — Nie! jam nie umarł, żywy-m!  
Czasem przebiega po mnie dreszcz potężny,  
a wówczas drży szakale plemię; —  
czasami, jakby ze trąby mosiężnej  
jęk się z mej piersi dobywa:

---



«Matko nieszczęśliwa!  
«Narodzie mój, jeszcze ja ciebie szczęśliwym  
«uczynię — — —  
«jeszcze zbuduję my Przymierza Skrzynię,  
«a w niej zamieszka Bóg!

— — — — — — — — — —

Duch znika, bo oto z lasu wychodzi MŁODZIENIEC, ciemne włosy długie spadły mu na czoło, a na niem smutek snać jakiś, duszę gniotący, zmarszczki pobruździł głębokie. Idzie i mówi, jakby do siebie i lasu — posłuchajmy co mówi:

Nieznanych jakichś trwóg  
pełen mi zda się las — — —  
Wszakże go znam doskonale,  
nie jeden wszakże raz  
te dzikie ostępy przebiegłem;  
kiedy mię wąpień obsiadły szakale,  
wyjąc straszliwy zatracenia śpiew,  
kiedy tęsknoty na mię wołał zew,  
tęsknoty za czemś nieznanem, odległem, —  
tu przychodziłem, tych drzew  
kojących słuchać szumów; —  
a dziś mię lęk, nieznany dla rozumów  
lęk mię przechodzi — — —

Słońce się pali, blasków śle potoki,  
a w duszy mojej mroki; —  
w świetlistej powodzi  
stuletnie toną drzewa,



wietrzyk po liściach i gałązkach śpiewa, —  
a w duszy mojej mroki —

Dwa lata ją kochałem; dwa lata  
marzeń, tęsknot nieprzerwanych snucia, — — —  
a dziś się wlokę niby trup bez czucia — — —  
Smutek na duszy mej siadł,  
smutek nieznany,  
i dawny urok utracił światu,  
słonecznym blaskiem zalany — — —  
Nie kocham siebie, nie kocham świata,  
Smutek bezbrzeżny i Ból, pan nad pany,  
dziś duszą moją władną,  
a dusza moja tych władców układną  
stała się sługą — — —  
— Dwa lata — krótko to, lecz długo — —  
bo ją kochałem całą duszy mocą,  
całą potęgą młodą, niestrawioną — — —  
Ha! gdybym kochał jedną z tych gwiazd, co migocą  
na nieba błękicie,  
to prędzej może do łona jej łono  
byłbym przycisnął i rozjaśnił życie — — —  
Chciała być z bajki zaklętą królową,  
a ja królewiczem nie byłem — nie będę — — —  
— — —  
— — — Żebyż mi teraz dał kto harfę śpiewną!  
ja z niej piosenkę tak smutną dobędę,  
że gwiazdy pobledną!





boleść duszy opowiem,  
boleść, co legła na piersi ołowiem,  
w pieśń całą duszę mą przeleję biedną,  
będę się skarżyć i pioruny miotać,  
będę przeklinać, do nieba łomotać, — — —  
a potem zagram piosnkę cichą, rzewną,  
że łzy popłyną; — gdyby mi teraz dał kto harfę  
[śpiewną — — —

---

Opiera głowę na rękę i siedzi zadumany, na potężnym powalonym pniu starego dębu. Słońce coraz bardziej pochyla się ku zachodowi, coraz czerwiesze wysyła promienie. Z drzew, z kwiatów, traw, z fal rzeczulki płynącej nieopodal wyłaniają się bajeczne postacie rusalek, dziwożon — litewskich dryad i ondyn. Potężna, jak z kamienia ciosana, ciemna, czarnowłosa boginka dębu; biała jak śnieg, wiotka, zdobna kaskadą jasno-złotawych włosów boginka brzozy, smukła i wysoka — sosny; drobne chwiejne Kwiaty i Trawy; omdlewające jak gdyby z rozkoszy, a wiecznie ruchliwe Fale; — siwowłosy stary WIATR chodzi powoli między niemi, one ustępują mu z drogi, pochylają się przed nim, jakby w tańcu — — — śpiewają cichym szepciem srebrnym — — —

#### CHÓR

My ci damy lirę,  
gęśle samograje,  
z nich popłyną szczyre  
dźwięki jak ruczaje — — —

ledwie dotkniesz dłonią,  
pieśń już lira śpiewa,



dźwięki skrzą się, płoną,  
serca pieśń rozgrzewa — — —

#### WICHER

Ja dam twojej pieśni potęgę,  
dam groźną jej moc piorunową,  
jak błyskawic czerwoną wstęgę  
rozplotę ci ją ponad głową.

Dam jej rozmach i rozpęd szalony,  
skrzydła swoje dam pieśni wichrowe, —  
że jak wzleci nad dębów korony,  
dąb ku ziemi pochyli swą głowę — — —

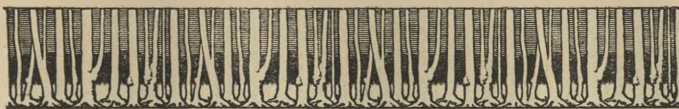
#### DĄB

Ja twej pieśni powagę dam dumną,  
co się nie gnie, nie schyla w dół czoła,  
choć otoczy czeredą ją szumną  
zgraja sług piekielnego anioła —

Dam siłę, co się burz ni nawałnic nie lęka,  
dam pewność, wiarę i wytrwałość,  
dam nieskruszoną piorunami stałość, —  
że kiedy pieśń skona i serce wnet pęka — — —

#### BRZOZA

Ja smutne, srebrne listeczków dzwonienie  
w twe struny wcielę; jako się boleśnie



skarżą, gdy wstrząsa niemi bólu drzenie,  
tako skarżące z harfy płyną pieśnie — — —  
i będą dzwonić tak czysto, srebrzyście,  
jako przy wietrze moje dzwonią liście — — —

#### SOSNA

Ja pieśni twej strzelistość dam,  
co się ku niebu wzbija coraz wyżej,  
jakby w przestwory chciała wybiec tam,  
kędy się orzeł tylko wzbija chyży,

i będzie sięgać wierzchołkiem nad tłum  
siostrzyc, co zwartem otoczą ją kołem,  
będzie górować szumem ponad szum,  
jako nad czoła ja góruję czołem — — —

#### KWIATY

My twej pieśni damy kolory,  
barwy rozliczne,  
my upleciemy z tonów wzory,  
wzory prześliczne,  
wieńce dziewiczych godne włosów,  
piękne i wonne;  
jako dziewice pieśni tve niebiosów  
dojdą — studzonne  
i stufarbne będą się rozlewać,  
jak szum w dąbrowie,





i będą gędzić i będą śpiewać,  
jak aniołowie — — —

#### WODY

A my ci damy rozlewność fal,  
że będą pieśni płynąć jak wody,  
błyszcząc pod słońce grzywą jak stal,  
albo szalejąc w dzień niepogody — — —

Jak my się pienim będą się pienić,  
jak my wciąż brzegów kajdany gryźć,  
jak my się będą w słońcu rumienić,  
jak my wciąż naprzód i naprzód iść — — —

DUCH ukazuje się znowu pod ogromnym dębem prawiecznym; nieruchomy stoi, otoczony cieniem.

A JA TWEJ PIEŚNI NADAM TREŚĆ! — — —

— — — — — — — — — —

Chwila milczenia — potem CHÓR lasu, jakby przelękniony, cichym, powolnym, przeciągłym szepciem powtarza:

Cześć tobie Duchu, cześć tobie, cześć! — — —

MŁODZIENIEC, obudzony z zadumy gromowemi Ducha słowami, patrzy nań w pół przytomnie z lękiem:

Któżeś ty? — — zda się, że znam ciebie — — —  
może cię kiedyś w snach widziałem —



aleś ty wówczas miał szaty barwione  
promieniem słońca na niebie,  
aleś na czole miał królów koronę, —  
a dzisiaj — nagiem świecisz ciałem — — —  
szaty przepyszne masz podarte w strzępy,  
na twojem czole jakieś dziwne ślady,  
jakby je kruków dziób wybródził tępy,  
takiś upiorny, taki blady,  
jakby z za świata cień — — —

CHÓR smutno i przeciągle echowym szeptem powtarza:

Zaduszny dzień, zaduszny dzień — — —

MŁODZIENIEC mówi. Słońce tymczasem opada coraz niżej, zagląda w ciemnie i opromienia szkarłatnymi blaskami postać Ducha.

Któżeś ty? — Czyli przychodzisz z za świata?...  
dech jakiś trupi za tobą przylata,  
a jednak jesteś piękny, jesteś jasny,  
słoneczny blask cię oblał krasny  
i w oczach twoich odbłaskiem się pali,  
a oczy twoje, jako ostrze stali — — —  
Powiedz, dlaczego patrzysz smutno?  
Czy ty znasz tajne mej duszy cierpienia  
i moją boleść okrutną? — — —  
możesz mi przyszedł wskazać ukojenia  
drogę śmiertelną? — — —

Wiatr wstaje, targa gdzieś zdala drzewami, rośnie, potężnieje, między konarami się przewija, a cała puszcza jęczy i drga nerwowo.



Snać kędyś na widnokregu zebrały się czarne chmury, burzę niosące; — oto uderzył grom, puszcza trzykrotnym odezwała się jękiem; Duch przy gromowym uderzeniu zmienił się naraz, stał się wspaniało-światny, koronę ma na głowie i stoi w blaskach słońca.

CHÓR głosem potężnym, jak puszcza, kiedy echo gromów powtarza:

Zmartwychwstań dzień! — — —

MŁODZIENIEC zachwycony:

O! teraz widzę cię takim jak dawniej,  
jak w snach: świetlisty, jak królowie sławni,  
a taki wielki, jasnością promienny  
jako ta puszcza w zieleni wiosennej,  
z ciężkich zimowych obudzona śnień — — —  
a taki odblask w twoich oczach boży,  
że się duch przed tobą korzy  
i klękać chce, nieznanych pefen drzeń — — —  
Powiedz, czy ty z za świata mi przynosisz wieść?  
Tyś mówić: pieśni mojej nadasz treść,  
jaką?

Ściemnia się coraz bardziej. DUCH nie odpowiada — stoi chwilę jeszcze i zwolna odchodzi; za nim z gęstwiny wylaniają rycerzów rotę, w srebrnych zbrojach, na białych koniach, odziani w płaszcze białe, ze skrzydłami orłów białych do ramion przypiętymi, oblane purpurą konających blasków zachodu ciągną przed młodzieńcem w długim szeregu cicho, bez szczełku broni, bez tętentu, niby widma, niby duchy zagrobne; przechodą i znowu nikną w gęstwinie.

MŁODZIENIEC przez chwilę stoi zamyślony, olśniony zjawiskiem przedziwnym, niezmiernym, rękę do czoła przyłożył; — nie widział,





jak duchy lasu przyniosły mu gęśle tajemne i przy nim postawiły.—  
Odjął rękę od czoła, jakby w postanowieniu jakimś nagłym, opu-  
ścił ją, opadła na struny; — a ze strun płynie ton, on mu pieśnią  
wtóruje, las się echami stujęczycznemi ozywa; burza nadchodzi, pio-  
runami ziele — — —

Zmartwychwstań nadszedł dzień!  
Duch żywy z grobu wstał  
i szedł wśród gromu pień  
w odzieży złotych strzał! —

Kto żyw, niech wstanie,  
niech oczy otrze z łez,  
piorunne głosi granie:  
niewoli nadszedł kres! —

Duch żywy rzucił grób  
i szedł zwiastować święto:  
— Zmartwychwstań dzień!  
Na krzyżu go rozpięto  
i z krzyża zstąpił trup  
i szedł zwiastować święto:  
— Zmartwychwstań dzień! —

Zasłona spada, — czarna, nocna; z poza niej słychać gromów huk  
i echa, jak powtarzają:

Zmartwychwstań dzień — — —  
— — — — —



CZEŚĆ TRZECIA

ŚMIERĆ ❀ ❀ ❀ ❀



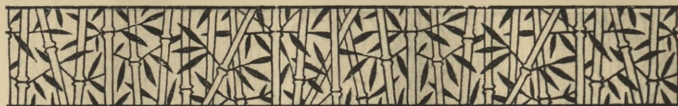




Ta sama, co poprzednio, polana w lesie. Noc. Nad puszczą szaleje straszna nawałnica. Chwilami ucicha, jakby konała już, wicher, zmęczony pędem szalonym, wypoczywa chwilę, las huczeć przestaje, tylko słychać zdaleka jakby tętent kopyt niezliczonych, to kędyś wicher znów gna. Przybiegł, targnął drzew konarami, jęk straszny z piersi lasu dobył — szaleje. Konwulsyjnie drga puszcza, huczy i szumi i jęczy. Ogniste węże błyskawic krają niebios czarną ponurą kopułę, leją zielonawo-błękitne światło na las i polanę. Widać bojowisko świeże; — niedawno zmagaly się tu moce człowiecze; widać trupy rozrzucone dokoła, jęk rannych jękom puszczy wtóruje. Nad kurhanem na prawo ognik jakiś migota i gaśnie, tajemny bo też jest ten kurhan prawieczny. Po lewej, nieco od reszty trupów odosobniony leży Młodzieniec, już z niego życie zrobiło CZŁOWIEKA; leży ranny, wążkiem pasemkiem krew mu z piersi się sączy, w dłoni gęśle przedziwne ściska kurczowo. W krąg niego snowają się duchy te same, co harfę mu dały, snowają się smutne, bo oto umiłowany od nich bohater ranny jest — skona — — — A nad polaną ciemności groźne nawisły, a kołem drzew stoją pnie czarne — — —

WICHER pędząc targa dębu konarami i huczy:

Ha, ty dębie prawiekowy,  
do mych stóp uchylisz głowy,  
drżyj, szamoc się, drżyj! — — —  
zegnę, zetnę, złamię ciebie,  
zegnę stary dumny łeb,  
w ziemi, w błocie cię zagrzebię — — —



nie chcesz korzyć się? — — — toś kiep! — — —  
Patrz, jak trzęsie się osina,  
na ludzkiego patrzaj syna,  
głowę dumną los mu zgina,  
zwyciężony padł — przeklina, —  
na ludzkiego patrzaj syna,  
łeb zielony do stóp gnij,  
drżyj, szamoc się, drżyj! — — —

#### DAŁB

Nie przed takimi jak ty siłaczami  
ja nie chyliłem swej zielonej głowy; —  
ty pójdiesz precz, ja będę stał,  
jak stałem i jak stoję — — —

#### WICHER

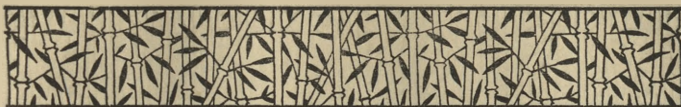
Na zwał, na zwał! — — —

#### BRZEZINA

Rzęsistemi płaczę łzami,  
sypią się listeczki moje,  
wiatr je niesie w dal,  
żał, żał, żał — — —

Wiatr się wzmaga, popłoch wśród drzew, ogniki błędne skaczą i migają niespokojne. — Puszcza cała jęczy tysiącami dźwięków rozbrzmiewa. Dąb trzeszczy, młode drzewiny gną się ku ziemi. A tam świerk stary z łoskotem na ziemię się powalił — — —





CZŁOWIEK otworzył oczy, dotychczas zamknięte i głosem cichym,  
głosem rannego, który wie, że go śmierć czeka, mówi, a w głosie,  
a w oczach taki smutek bezbrzeżny — — —

Straszno, lęk jakiś ogarnia nieznany — — —  
Tutaj ze sobą w krąg kosmiczne moce  
wziąwszy za bary zmagają się, walczą,  
tutaj się wichur pastwi rozkiełznany,  
wiekowych dębów gałęzmi szamoce  
próżno; a tam ze służalczą  
pokorą gną się osiki, brzeziny — — —  
Piorun uderzył, pada dąb odwieczny,  
pada na ziemię rozcięty na dwoje, —  
a jeśli w dębie owym była dusza? — — —

Słysząc w wichur poszumie:

Była — — —

#### DUSZA DĘBU

Piorunem na dwoje rozdarte me ciało,  
ja idę się błąkać po świecie,  
ja idę w bagnisko, jak ogień tam skakać,  
tam cicho płakać  
nad tem, co już uleciało — — —  
Ja, ziemi dziecię,  
od ziemi oddarta,  
idę się błąkać po świecie,  
idę świecić, idę zwodzić,



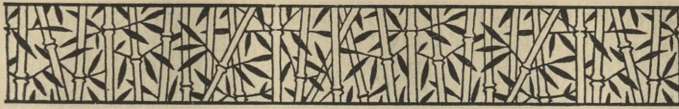
idę w bagnie boleść chłodzić — — —  
Śmierć, śmierć, — skon, skon,  
piorunu dzwon —  
i wypełniona karta — — —

Słuchać w wichru poszumie:

Nie wypełniona — — —

#### CZŁOWIEK

Straszno. Las brzmi, huczy, śpiewa,  
wicher się pastwi, padają drzewa,  
chmury się czarne po niebie toczą,  
wszędę śmierć, wszędę skon,  
piorunu dzwon —  
i wypełniona karta — — —  
Czy wypełniona? — — —  
Nie! — Życie to ciągnęła bez zwycięstwa walka;  
i końca niemasz jej, ni kiedy cisza śpiewa,  
ni kiedy wicher huczy, ni kiedy brzmia pioruny,  
ni kiedy śmierć brzemieniem na duszy się kładnie.  
Walka wciąż trwa, bez końca trwa — — —  
Zawsze ktoś kona, zawsze ktoś się rodzi,  
żeby do walki iść, padać — zwyciężać —  
konać i znowu ożywać po skonie,  
i znowu iść — i tak bez końca — — —  
Śmiertelny dreszcz — narodzin krzyk,  
piorunu dzwon — żywota skra,



roskoszy śmiech — szaleństwa ryk,  
a życie trwa — i walka trwa — — —

i tak bez końca, bo niemasz końca — — —

Chmury się przewalają, pioruny, śpiew wichru, trzask łamanych  
gałęzi, bolesny dreszcz natury — — — i tak bez końca, bo nie-  
masz końca — — —

#### CZŁOWIEK

I skonam ja, i przyjdą inni,  
i konać będą znów — — —  
Bo Śmierć to wielka, to wszechwładna pani,  
na czoło złoży zimne dłonie  
i ujdzie duch — — —  
Ciężko, tak pałą, dziwnie pałą skronie — — —  
— — — wody, choć kroplę wody — — —

DUCHY, co wokół człowieka się snowają:

Sza! wody prosi, kroplę wody — — —

WICHER, śmieje się szatańsko:

Zachciało się swobody,  
zanadto gniotło jarzmo kark — — —  
Szlście na bój, nadzieją pałająca  
rzesza; tam śmierć miast słońca,  
śmierć miast swobody — — —

DUCHY bezradne

O wodę prosi, kroplę wody — — —





JEDNA Z BOGINEK, najpiękniejsza, złotowłosa, snać leśnych duchów królowa —

Siostry, biegnijcie do strumyka,  
niech fala która, co pomyka  
wiatrem pędzona kędyś w dal,  
niech przyjdzie tutaj — — — która z fal — — —

DUCHY radośnie

O! wodę niesie Grażel w liściu — — —

WICHER

Próżno się nad nim chylicie litośnie,  
Śmierć idzie już — — —

CHÓR w popłochu

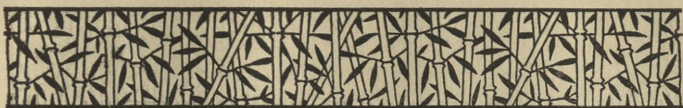
Śmierć, śmierć, skon, skon,  
piorunu dzwon  
i wypełniona karta — — —

ŚMIERĆ szeptem echowym

Nie wypełniona — — —

CZŁOWIEK

O idzie, idzie, straszna biała dziewa, —  
widzę ją, idzie, skroń w lilijne kwiaty  
odziała — — —  
Żałobnie szumią drzewa; —



idzie, białe ma szaty,  
sama biała,  
skroń w kwiaty odziała,  
to ona straszna, ona, Śmierć — — —

Ukazuje się biała niewymownej piękności dziewica, płynie cicha  
wolno, to —

ŚMIERĆ, spokój ogromny po całej rozlany postaci.

Nie! jam nie straszna; popatrz w moje lica,  
czystam ja, biała, niewinna dziewica;  
ja spokój niosę i ciszę ze sobą — — —  
Przecz ludzie mię lękiem witają, żałobą,  
nie wiem. — Prawda, jam smutna,  
oczy mam łez pełne, —  
ale ja krzywdy ludziom nie uczynię — — —  
Patrz, ja ci spokój niosę,  
spójrzysz w moje lica,  
przecz lęk? —  
Tyś szukał mię w boju,  
ty mię wołałeś, kiedy cię kochana  
dziewa precz gnała,  
dzisiaj się mnie lękasz? —  
Wtędym nie przyszła, bo wyroki Boże  
inną ci wtedy naznaczyły dolę,  
boś musiał kielich swój spełnić do końca,  
boś musiał patrzeć na śmierć tego słońca,  
co cię do boju wiodło,

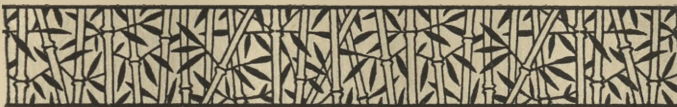


bo wciąż konałeś, bo całe twe życie  
było konaniem i życia pragnieniem; —  
dziś ja przychodzę —  
niosąc zmartwychwstanie,  
niosąc ten żywot, który już nie przejdzie,  
nadzieje niosę, co się nie rozwieją — — —

#### CZŁOWIEK

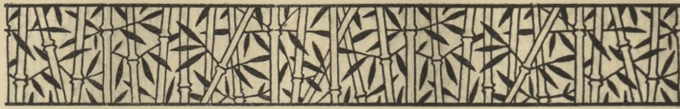
Nadzieje, mówisz, co się nie rozwieją,  
żywot, który nie przejdzie? — — —  
O, biała! — — —  
a moje życie nie było żywotem,  
jeno pragnieniem nieustannem życia? — — —  
Może to prawda — — — Tęsknoty olbrzymie  
ciągle mię wiodły kędyś, w jakieś kraje,  
których obaczyć snąc mi Bóg nie sądził —  
O! życie moje smutne było, smutne — — —  
jak mi spokojnie teraz, dobrze,  
tak jakoś lekko — — —  
O! nie odejmuj swoich białych dłoni  
od moich oczu,  
światło z nich się sączy  
i widzę przez nie, widzę, całe moje życie — — —  
o! nie odejmuj dłoni — — —  
Znasz moje życie? — — — prawda? —  
ty wiesz wszystko — — — — —  
— — — — — — — — — — —



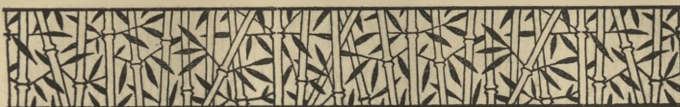


Widzę:

chłopięciem jestem małym,  
do matczynego przytulony łona  
śnie — — —  
a kędyś dusza pędzi rozmarzona,  
skrzydłem białem  
w zaświaty mknie — — —  
Matka mi baśnie prawiała — — —  
o bohaterach, co wielkimi czyny  
świat zadziwiali, co nieśli swe życie  
na jakieś bogom tajemne objaty  
i nie lękała ich przemocy siła, —  
czoła stroili w zwycięskie wawrzyny,  
po torach nowych naprzód pchnęli światy,  
do słońc sięgali, co tam, na błękicie  
świecą promienne;  
a choć wiedzieli, że im ikarowe  
opadną skrzydła w locie,  
że w morze śmierci zapadną bezdenne,  
choć ranił skórę ich głowę, —  
wszak wierni swojej słonecznej tęsknocie,  
co bohaterskie rozpałała łona,  
lecieli wyżej, wciąż wyżej i wyżej,  
w skale wieczności ryli swe imiona  
i szli jak ptaki do słońca — — —  
Mówiła Matka o szarej Niedoli,  
co gniecie świat,  
i co jej nie masz końca — — —



i o tem jarzmie mówiła, co boli,  
zgina, w ramiona się wrzyna; —  
i o cierpieniach Człowieczego Syna; —  
i o tej Krzywdzie, co gnębi człowieka — — —  
mówiła o tem jak widma — szatany,  
kędys z piekielnych zrodzone otchłani  
stos zapalały, kędy krwią obłany  
bratnią, na krzyż przybity, lud kona,  
a sępy  
serce krwawiące, wyszarpięte z łona,  
darły na strzępy,  
krwi chciwe, krwi nie syte, —  
jako na trupie, tron ma Krzywda — pani — — —  
I powiadała, że kiedyś dzień przydzie,  
że precz kajdany opadną rozbite,  
że Krzywda w całej swej ohydzie  
skona,  
a Miłość zstąpi od Bożego trona  
i zapanuje nad światem,  
lecz pierwej wiele łez i krwi wypłynie,  
nim się ta czara wypełni,  
czara odkupień — — —  
a kiedy krew, jak morze, pianami się zwełni,  
Krzywda, co dzisiaj jak opoka stoi,  
w tej rozpętanej utonie powodzi — — —  
— — — Ty wiesz wszystko — — —  
— — — — — — — — —  
— — — — — — — — —

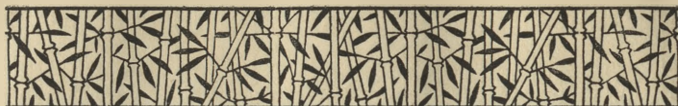


Widzę:

małem chłopięciem jestem; —  
w nocie ciemne sen mię nie tuli,  
dusza jakieś wizye przedziwne roi,  
marzy jakieś krzyże, krzyże odkupień — — —  
modlę się: O, Boże!  
daj mi, o pozwól skonać, wielki Boże,  
pozwól, niech życie tobie na ofiarę złożę,  
niech życie moje będzie męką wielką,  
niechaj na krzyżu, jako Syn Twój skonam,  
lecz niech śmierć moja naród mój wybawi,  
niech Życie potem już rąk swych nie krwawi  
w gorącej, z serca wylanej posoce,  
niech sęp skrzydłami głucho nie łopoce,  
niech odkupieniem żywot mój się stanie  
i w bólu strasznym skonanie — — —  
pozwól, o pozwól, Ty, przeświety Panie! — — —  
taką modlitwę z głębi łona-m  
wyrzucił dziecię — — —

L już widziałem siebie męczennikiem;  
najwyuzdańsze, dzikie jakieś męki,  
brałem pokorny z Przeznaczenia ręki,  
bólu rozpaczonym nie zdradziłem krzykiem — — —  
A w jakimś dziwnym świecie  
cierpiałem:  
nademną słońce paliło się złote,  
promienie jego budziły tęsknotę

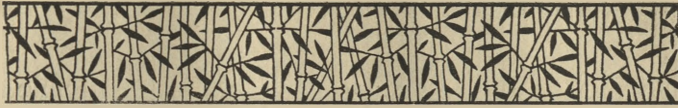




mąk jeszcze nowych, o nowe wciąż razy  
wznosiłem modły,  
a kiedy kat podły  
nowe zadawał mi ciągi,  
dusza ma skrzydłem białem  
leciała poprzez dróg tęczowych wstęgi  
w niebo, do Boga tronu i tam brała siły — — —

Ale to wizye jeno gorączkowe były.  
Życie me ciche płynęło spokojne — — —  
tam w sercu jeno ciąglą miałem wojnę  
pragnień i marzeń, bólów i rozpaczy;  
czułem się mały, że choćby na ćwierci  
darta me ciało,  
tysiąc takich śmierci  
byłoby mało — — —  
i bunt się budził przeciw próżnej męce. —  
I Chrystus konał, tak,  
a czy wybawił świat? Dzisiaj jak wczora  
świat się nieszczęsny w bólu miota, wyje, —  
dzisiaj jak wczora jarzmo gniecie szyje  
i w kabłąk zgina i łamie,  
wiecznego bólu leży na nim znamię; —  
i niby czarny, trupiożerny ptak  
siadła na duszy mojej wąpień z mora — — —

Wszak nie wybawił Chrystus świata,  
a Bogiem był,



ja, człowiek mały, bez sił,  
ja się o taką śmiałem modlić łaskę,  
głupiec! o taką prosić łaskę — — —  
— — — Takem się tarzał i ziemię bił czołem,  
a potem bluźnił, złorzeczył, przeklinał  
i takem prosił, prosił, prosił — — —  
a potem śmiechem szyderczym wybuchnął  
i zdało mi się, że z tym śmiechem razem  
wyplułem z duszy resztki tego Boga,  
tego tyrana — nie Boga — — —  
i własną teraz pragnąłem już mocą  
świat w perz obrócić i nowy postawić — — —  
— — — — — — — — — — —

A potem przyszła Ona — — —  
Dziwną jaśnią Bóg oblał to białe,  
to promienne czoło — — —  
Powiedz, dlaczego jam wyciągał ręce  
do niej napróżno? — — —  
powiedz, dlaczego, kiedym ją obaczył  
znów się poczęły dawne wiary budzić? — — —  
Ona mi była wszystkim:  
Bogiem i zbawieniem;  
siłą i wiarą, mocą i nadzieją — — —  
do niej jak do Boga  
słałem modlitwy i znowu napróżno,  
jako Bóg milczał na moje modlitwy,  
tako milczała jej dusza — — —



jam wierzył, kochał — — —  
znów w bezsenne noce, gorączką trawion,  
trawion marzeniami,  
które się ziścić nie miały,  
o ziemię czołem biłem w serdecznej modlitwie,  
kajałem się, błagałem, — próżno!  
alem wciąż wierzył — — —  
i dziś wierzę jeszcze,  
że święta była ta dziewica biała,  
co Bóg na mojej postawił ją drodze,  
jeno za święta i za wielka dla mnie — — —  
— — — — — — — — — — — — — — —

A potem przyszła trzecia wiara moja,  
wiara w nadejście zmartwychwstań godziny.  
Tutaj w tym lesie Duch się jasny jawił  
zdziwionym oczom moim — — —  
Duch to może bratni  
temu, co dzieckiem na męczarni pola  
wodził mię, a może on to zmartwychwstał — — —  
i kazał walczyć mi i kazał pieśnią  
w zamarłych sercach rozegrzewać tętno,  
pieśnią potężną, zuchwałą, namiętą, —  
kazał mi życie nieść — — —  
Gęśle dały mi do rąk czarowne  
dobre duchy lasu,  
iść mi kazano —  
szedłem jak szalony, gnany rozpaczą,

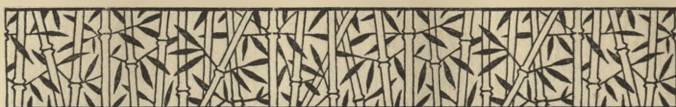




całą duszy mocą  
oddany trzeciej tej mojej tęsknocie,  
tej trzeciej wierze — — —  
I dziś konam oto — — —  
Powiedz, dlaczego wszystkie wiary moje,  
wszystkie te moje ukochania złote  
tak się musiały rozpuścić, rozpuścić  
niby mgły srebrzyste — — —  
tak mi czarownie świeciły, tak jasno,  
tak mi się piękne wydały promienne,  
potem się w nicość rozwiały,  
dlaczego? — — —  
Czy każdy żywot człowieczy  
to jeno wiar złotych utrata?  
to jeno ciągłe nadziei rozwianie  
i ciągła tęsknota do świata  
innych, nadziemskich rzeczy,  
i ciągłe zawody, i ciągłe konanie  
i ciągłe życia pragnienie,  
aż nim ostatecznie tchnienie  
z ust ludzkich w twoje się usta dostanie? — — —  
Powiedz ty! wszak ty wiesz wszystko,  
ty wszystko nawskróś przeglądasz  
temi łzawymi oczyma — — —  
odpowiedz — — —

#### ŚMIERĆ

Czekaj i wierz, przez moje dłonie



przeszłość widziałeś, teraz ci oczy odstonię,  
i dzień dzisiejszy, coć zginął w powodzi  
wspomnień, obaczysz — — —  
Patrz! jam posłanka Boga,  
tego, coś weń wiarę stracił,  
jać mówię:  
dziś konasz za to pierwsze ukochanie twoje,  
za które śmierci prosiłeś u Boga,  
a Bóg twej prośby wysłuchał.  
I oto idę ja dziewica biała,  
z księżycowego zrodzona promienia, —  
idę i ciszęć niosę, niosę zapomnienie,  
z ust twoich wezmę duszy twojej tchnienie,  
wezmę je w pocałunku,  
przed Boga zaniosę — — —  
Jam piękna, patrzaj w moje oczy:  
blaski promienne, co w mistycznych rajach,  
płoną wzniecone wszechpotężną wolą,  
te blaski w oczach moich się skrzą — — —  
O! wiele, wiele tam u Boga tronu  
blasków i światła, szczęścia i promieni — — —  
Żyłam ja kiedyś tutaj na tej ziemi,  
zrodził mię bładny promień księżycowy,  
i pośród ludzi błądziłam jak dziewczę;  
kochałam męża pewnego — rycerza,  
kochanek skonał mi w walce — — —  
o świętą walczył sprawę jako ty — — —  
jam go szukała, a kiedy znalazłam,



trupem był; wonczas pocałunek  
z ust jego wzięłam pierwszy — — —  
usta były zimne — — —  
i złorzeczyłam, przeklinałam Boga — — —  
Potem jak z blasku powstała księżycyca,  
tak się rozwiałam w światłość księżycową,  
a dusza moja po srebrnym promieniu  
płynęła w niebo — i u Boga tronu  
dziś żywię, Jemu służę — — —  
Lecz często schodzę na ziemię,  
Bóg mię ukarał za moje przekleństwa — — —  
gdzie tylko ranny umiera bohater,  
co w boju pada, jako mój kochanek,  
ja muszę z jego zimnych ust  
brać pocałunek, z nim ostatni dech — — —  
jam — bohaterów śmierć — — —

---

Wicher, co był się nieco uciszył, nabierał sił spać tylko, do ostatniego może, potężnego uderzenia; oto idzie już z hukiem straszonym, z łoskotem gałęzi łamanych, drzew wrywanych z korzeniami; idzie, towarzyszą mu błyskawic wstęgi ogniste, piorunów warki złowrogie.

Z głębi od ugorów idzie DZIEWICA ona od CZŁOWIEKA umiłowana; kazała mu odejść, bo nie zdało się jej, by go pokochać umiała i mogła — a dziś szuka go pośród trupów: czarna żałobna odziewa ją szata, oczy łzami zamglone, smutne, a złote precudne

---





włosy w nieładzie opadły na ramiona; idzie błędna, wpół jeno przytomna, a wkoło tańczą ogniki, prowadzą ją, idzie za niemi. Pioruny warczą.

#### PIERWSZY OGNIK

Piorunu miecz  
na dwoje dębu rozdarł pień,  
a z pnia wystąpił jego cień — — —

#### DRUGI OGNIK

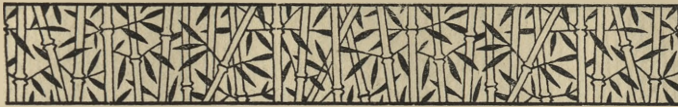
Tyś mu kazała odejść precz,  
na tobie pomstę weźmie Bóg — — —

#### TRZECI OGNIK

Błyskawic smug  
jak wieniec zwił  
w krąg skroni swojej Bóg,  
wyciągnął swą karzącą dłoń,  
kosmicznych pełną sił,  
i karać będzie —  
On widzi wszędzie,  
na duszach ludzkich siędzie, —  
piorunem ma obwitać skroń — — —

#### CHÓR OGNIKÓW

piorunu dźwięk  
i śmierci jęk, —  
piorunu dzwon  
i śmierć i skon — — —



Błyskawice zamigotały na niebie, przewinęły się po niem błękitnawo-zielonemi wężami i światłem dziwnem poławę oblały; widać konającego Człowieka.

#### CZWARTY OGNIK

O! patrz gdzie on! — — —

DZIEWICA ujrzała przy błyskawic świetle konającego, przypada doń prawie bezprzytomna, całuje ręce, ciało pocałunkami szalonymi okrywa — — —

To on! o Boże, Boże, Boże! — — —

CZŁOWIEK budzi się z omdlenia przedśmiertnego, może mu się w gorącce jej właśnie postać kochana jawiła, mówi jak w śnie:

O jasna! — — Boże! — — śmiertny sen! — — —  
po co mię drażnisz widmem złud.

DZIEWICA z szałem miłości i rozpaczy — —

Nie sen, to jaw, to ja przy tobie —  
kocham. Słoneczny, będziesz żył!  
Już nie odejdę — — kocham — — wiecznie — — — —  
jak pies u twoich legnę stóp — — —  
będę całować — — święty — — ja wyrodna — — — —  
zgrzeszyłam ciężko — — — kary dość — — —  
o! Boże! błagam, niech on żyje! — — —

CHÓR lasu przy odgłosie gromu co się po konarach przetacza

Piorunu dzwon, —  
i śmierć i skon  
i wypełniona karta — — —



ŚMIERĆ jakby na chóru odpowiadając przełęczniony głos, mówi  
z mocą

Nie wypełniona — — —

do Dziewicy

Napróżno łyzy, napróżno jęk!

on mój, pocałunkami

w stygnącą pierś nie wlejesz życia — — —

DZIEWICA ujrawszy Śmierć

Ktoś ty? — — — Ty śmierć? — — —

Ty, dziewica biała; ty chcesz go wziąć? — — —

Ja nie dam ci! On będzie żył! — — —

ŚMIERĆ

Tak nie stanowił Bóg! — — —

DZIEWICA

Bóg? — — — Mów Szatan, a nie Bóg!

Jam w łąkach trawiła noce,

ustami wycierałam pył,

ustami rozpalalam głaz

posadzki w tumie — — —

ja się modliłam tak! — — —

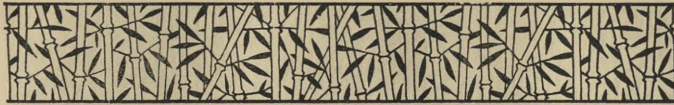
Nie! — — — Bóg mi go nie weźmie!

do Człowieka

Daj usta! moje życie

ja w twoją pierś całunkiem tchnę — — —





#### CZŁOWIEK

O jasna moja! moja święta!  
Nieznane są wyroki losu —  
jam kochał ciebie — — — całą mocą — — —  
jam życie niósł na kraju zew — — —  
Modlitwa moja wysłuchana — — —  
Słuchaj, pamiętasz, jam ci mówił,  
pragnąłem zginąć, dzieckiem jeszcze  
o śmierć modliłem się do Boga — — —  
i — Bóg wysłuchał, widzisz, konam.  
Konam w okropnym bólu — — —  
gdybyż sam — — —  
pragnąłem ciebie, dziś żałuję,  
samemu lżej by było konać — — —  
a snąc inaczej sądził Bóg — — —  
czara po brzegi wypełniona,  
modlitwy wysłuchane moje — —

#### ŚMIERĆ

to dwie, a trzecią ujrzysz potem. —  
A teraz na mnie czas — — —  
całuje go; do Dziewicy  
o! i ty całuj, całuj, całuj — — —  
już usta zimne — duch ja biorę,  
ty zimne całuj usta, —  
bo tak chce LOS — — —

#### DZIEWICA w bólu strasznym oszalała

Skonał — — — o Boże, Boże, Boże! — — —



od kiedy odszedł, tęsknot żar  
zarzewiem duszę moją pali,  
jak grot ze stali  
przeszywa moją pierś — — —  
Jam go odepchnęła,  
a kiedy odszedł, taki żal  
jął palić serce — — — —  
A teraz skonał oto — — —  
o, ja bezsilna — — — — ja wyrodna — — — —  
o, ciężki grzech — — — —  
ja za nim pójdę w grób, o Boże! — — — —

Całuje

Zimne usta, zimne, zimne — — — —  
piorunu dzwon — — — — o grzech — — — —  
o śmierć, o straszny dzień — — — —  
a miłość ma? — — — — szalony ból — — — —  
a jam się tak modliła,  
aż głąz posadzki w tumie  
od moich rozmiękł łez — — — —  
a usta zimne, zimne — — — — zimne — — — —

Patrzy bezprzytomna przed siebie, patrzy kędyś w dal, w ciemnię  
z boleścią błędne oczy utkwiała.

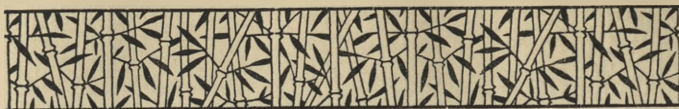
ŚMIERĆ z mocą

Siostro! nad nami stoi Bóg!  
w tajemnej swych wyroków mocy,  
On światom wskazał szlaki dróg,  
któremi krążyć mają; On cieni i głóg



i róże dawa; światła smug  
i mroki nieprzebranych nocy  
On rozpościera wkrąg,  
z wszechwładnych Jego rąk  
świat bierze kielich swój,  
okrutnych mąk  
i szczęścia zdroj — — —  
Przychodzi do nas w blasku zórz  
niebiański poseł, szczęścia kruż  
przynosi pełną,  
a niebo, nie pokryte wełną  
skłębionych tucz,  
nad nami się rozwiera  
słonecznym blaskiem jaśniejące — — —  
a my — nie chcemy patrzeć w słońce,  
a my nie widzimy, że to słońce,  
i odpychamy szczęście precz,  
i precz nam szczęście Bóg zabiera,  
i z ócz  
wyciska łzy palące — — —  
I ty dziś płacz nad grobem bohatera — — —  
nie wraży go powalił miecz,  
nie z twoich śmierć wziął dłoni, —  
lecz Bóg powołał go na szczyt,  
gdzie, nim na ziemię spłynie, świt,  
rumiany świt się płoni — — —  
I jam kochała bohatera,  
jam zimne usta całowała,

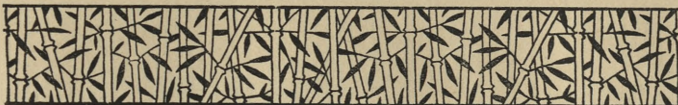




dziś błędę ja, dziewica biała,  
Śmierć. — Podaj mi dłoń,  
nas bratni łączy ból,  
cierń jeden rani naszą skroń — — —  
podaj dłoń — — —  
Do zimnej piersi głowę tul,  
zamarło już w niej serca bicie — — —  
Ha! kiedyś wstanie z grobu on o świcie, —  
lecz, kiedy przyjdzie świt? — — —  
Wstaniesz i ty, i ja powstanę,  
odnajdziem duchy ukochane,  
usłyszym serc kochanych bicie — — —  
a usta będą ich gorące — — —  
z za chmur wypłynie złote słońce  
na przezroczystym, hen, błękicie  
stanie — — — lecz, kiedy przyjdzie świt? — — —

Patrz, Matka Boga, dziewa czysta,  
jaki olbrzymi był jej ból — — —  
Do piersi zimnej głowę tul,  
zamarło już w niej serca bicie — — —  
Patrz, tam przed nami widmo Chrysta,  
jego śladami droga nam — — —

Kurhan pradawny pęka naraz. W głębi widmo Ukrzyżowanego; smutek niezmierny na jego maluje się obliczu. Z przeciwnej strony, z gęstwiny wylaniają się Białych Rycerzów postacie, przechodzą cicho, jak widma i znikają w rozwartej ziemi paszczy.



## ŚMIERĆ

Chodź! weźmy trupa na ramiona,  
ty głowę jego tul do łona, —  
do stóp Chrystusa idźmy tam — — —  
przez grób powiedzie on na szczyt,  
gdzie świt, gdzie wieczny złoty świt — — —  
Ja Śmierć, ja pójdę znów,  
na bohaterów siadać łona,  
całować zimne wargi,  
zdejmować ciernie z głów,  
uciszać skargi — — —  
I ciebie woła Bóg  
do rzędu swoich sług:  
ty, pogrążona w grobu cień,  
będziesz tych gęśli jego strzec,  
aż nim nadejdzie DZIEN,  
aż nim nadejdzie ŚWIT — — —  
ty gęśli strzeż, ja muszę biec — — —

Idą za Białych Rycerzów orszakiem i razem z nimi w paszczy  
ziemi nikną, a ta się cicho zawiera.

1 Nad bojowiskiem dogasa zwojna burza.





# CZEŚĆ CZWARTA

LEGENDA ❁ ❁ ❁





Ta sama polanka w lesie. Wieczór ciepły, letni wieczór wczesny; ledwie się słońce pochylać zaczęło i przez cały ciąg sceny pochyła się zwolna, potem coraz szybciej, olbrzymieje, miedzianych nabiera połysków i barwami rozlicznymi puszcę zdobi, zdobi niebo i białe na niem obłoki. U stóp tajemniczego kurhanu siedzi STARZEC, bez prawej ręki, siwy, długa siwa broda spada mu prawie do pasa, powiew wiatru igra z nią i z włosami jak śnieg białymi na niepokrytej głowie Starca. Przy nim DZIEWCZĘ młode, dziecko nieledwie, piękne, duże włosy złote winą się wkoło czoła, rozsypane puklami spadają na ramiona, modre oczy marząco patrzą w dal; słońce przez gęstwę liści przedziera się wązkimi pasemkami i płamami się kładzie na postaciach ich i aureolą w złotych Dziewczęcia włosach płonie.

STARZEC opowieść jakąś ciągnie, czasami żywo dłonią lewą gestykuluje, czasami głos mu zcicha, łamie się, zamiera; snąc dawne jakieś opowiada zdarzenia, których świadkiem był, sam w nich udział brał — — —

— — — — — Była wojna.

Szli starcy siwe, szła młódź niespokojna

walczyć o świętą wybawienia sprawę — — —

Z każdym dniem nowe przychodziły wieści,

że lud wystąpił w bojowanie krwawe,

że mu już dosyć było tej bezczęści,

że zbytnio jarzmo ugniata plugawe,

że czas duszącą przemoc nadszedł zgnieści — —





Tam się już walka toczy, nasi giną — — —  
Dniem, nocą widzimy, jako niebios sińą

przestrzeń oblały w krąg łuny pożarne — — —  
I sam Bóg walczy, tako nam się zdało,  
bo niebem chmury ciągnęły ciężarne,  
echo rozgłosem piorunów jęczało,  
lasem się cienie jakieś snuły czarne, —  
a czasem było, że nie śpim noc całą:  
po niebie chodzą jakieś krwawe miotły,  
jakiś lęk chodzi, — baby dziwy plotły — — —

Ktoby tam babskiej był słucał gawędy,  
ale co prawda — prawda! były dziwy — — —  
nietylko u nas — naokoło, wszędy — — —  
po lesie chodził upiór, szlachcic siwy,  
czasem wychodził na wioskowe grzędy,  
twarz miał wybladłą, widno nieszczęśliwy  
duch potępieńczy; — jak spotkał człowieka,  
gadał z nim długo — i człowiek ucieka

w las, tam gdzie walczą, coś go — mówi — goni —  
A wraz się z wioski ruszyli niedługo  
wszyscy, kto tylko zdał się był do broni — — —  
W nocy my wyszli. Na niebie się smugą  
pali czerwona łuna — — — w tysiąc koni,  
mówią, kozacy stali tam nad strugą,  
obozem stali — w «Kozaczej Oborze»; —  
a naszych było dwieście ludzi może — — —



Szli śmiało pełnić przykazania Boże,  
choć strach szedł z nami, choć nie miałem wiary. —  
Tam, dle Hajnówki, mieszkał pan we dworze,  
miał syna, córkę, sam był bardzo stary; —  
mówili — dawniej hen, kędyś, za morze  
jeździł na wojnę, teraz kubrak szary  
wdział i szedł z nami, prowadził nas w pole  
za swoją walczyć i za naszą dolę. —

Syn jego młody był jeszcze i razem  
z ojcem nas wodził; o! rycerz był tęgi:  
tak pod kulami stał, jakby żelazem  
okuty, ciężkie dawał wrogom ciężki;  
gdzie stanął, w miejscu tam twardym stał głazem,  
wtył się nie cofnął, przemożnej potęgi  
on się nie lękał, jako zuber dziki,  
tak na kozackie szedł szable i piki — — —

A jak on umiał zniemacka i zcicha  
podejść i rozbić w proch kozackie sotnie!  
jak kłós padali, zmykali — do licha — — —  
oj! przeklinaliż nas oni stokrotnie,  
na bojowisku sotnia czasem zdycha,  
wszystkich powstańcza kosa zrąbie, potnie — —  
Oni po puszczy błędzą, my — jak w domu,  
osaczym — uciec nie damy nikomu. —

Był z nami trzeci. Noc padnie, bywało,  
dzień cały nic nie jedli, a czasem i dwa dni,



bojaźń i smutek ogarnie, nas mało,  
garść coraz mniejsza, wnet całkiem przepadnie,—  
on gęśli wyjmie — — — czasami noc całą  
gra, aże słońce wyrzy, mrok opadnie, —  
a w duszy nowe wyrastają siły  
i nowej chce się walki, nowe ryć mogiły,

w mogiłach onych grześć niedolę swoją,  
a choćby nawet głowę złożyć własną, —  
bo już się ludzie ni śmierci nie boją,  
już w gwiazdę swoją wierzą, gwiazdę jasną,  
wszystkie się smutki, lęki uspokoją; —  
że nie dojedzą czasem, że nie zasną,  
że z ran serdeczna krew z bólem ucieka,  
to — Bóg wszak widzi niedolę człowieka — —

I gęśle jego, dziwne gęśle płaczą,  
zda się, że widzisz, jak płyną z nich ślozy  
nad dolą naszą nieszczęsną żebraczą — — —  
To rozbrzmiewają pieśni pełne grozy,  
grozy wojennej, to jak kruki kraczą,  
to jak ogniste Eliaszowe wozy  
pędzą i niebo krwawią jasną łuną,  
zda się potęgę zabrały piorunom; —

i taką mocą olbrzymią zadźwięczą,  
takie bojowe z nich się leją tony,  
taką nadziei jasną płoną tęczą,  
że, z odrętwienia człowiek obudzony,





sam się już wstydzi, że mu wargi jęczą,  
wstydzi się lęku, jeno z której strony  
wrogowie, pyta, ima się oręża,  
idzie i walczy — ginie lub zwycięża. —

O! dziwną pieśnią brzmiały gęśle jego.  
Mówią, że mu je przynieśli anieli; —  
i nie dziw, takie bo z nich pieśni biegą,  
jak śpiew anielski; kiedy tak wystrzeli  
pieśnią pod niebo, to z duchów, co strzegą  
człowieczych losów, zda się jeden w bieli  
duch tu na ziemię w blasku słońca spływa,  
patrzy, jak cierpi ludzkość nieszczęśliwa,

ulgę w cierpieniu i pociechę niesie,  
i nową siłę, nową wiarę dawa,  
a dusza za nim kędyś w niebo rwie się — — —  
— — — I tak ciągnęła się ta walka krwawa;  
to tu, to ówdzie chodziłem po lesie,  
co dzień to kogoś z naszych już nie stawa,  
stary pan zginął przeszyty kulami,  
syn jego objął przewodztwo nad nami. —

Znowu przez leśne biegliśmy ostępy,  
w nieprzeniknionej kryli się gęstwinie — — —  
Przez błota grzązkie do zacisznej kępy  
skrytej w najdalszej lasu gdzieś głębinie  
doszliśmy, obóz rozłożyli, tępy  
już ostrząc oręż; jako strumyk płynie,



tak się spływały tam oddziałki nowe,  
jedne ustałe, inne w bój gotowe — — —

I po dniach kilku znowuśmy ruszyli  
w siłach wzmocnieni, strasznej walki chciwi,  
idziem, las patrzy, zda się głowy chyli  
dębów rząd wiecznych, patrzy się i dziwi, —  
dziwi go widok garstki, co się sili  
walczyć z tłumami — — — Ha, ha! nieszczęśliwi  
idą niedołą gnani i rozpaczą,  
krwią ślady swoje, krwią serdeczną znaczą. —

Dęby nam pieśnią szumią, pieśnią mocy  
tak nieugiętej, tak wielkiej, jak one,  
kiedy burzliwej mrok je schłonie nocy,  
wicher im zieloną chce zedrzeć koronę,  
a Bóg po niebie miota ze swej procy  
groty piorunów, straszne, rozognione,  
a one stoją dumne, nieugięte,  
bez lęku, w mocy swojej wielkiej święte; —

taką nam siłą brzmiały dębów szumy,  
zda się wróżyły sławę i zwycięstwo,  
cóż, że nas wroga wkrąg otoczą tłumy, —  
piersi rozpiera ból, rozpacz i męstwo.—  
Bóg nam pomoże, nie? — Szatana w kumy  
prosić będziemy — — — a dokoła gęstwą  
szum dębów starych przetacza się, huczy,  
rozlewny taki, mocny, ale kruczy — — —



A tam, na niebie, dawno wyrok boski  
był snąć wypisan w Przeznaczenia księdze  
krwawych piorunów czerwonymi zgłoski, —  
wróżył zwycięstwo wrażej on potędze — — —  
Szliśmy tak, wreszcie przyszliliśmy do wioski;  
zaraz po dymów poznaliśmy wstędze,  
że z drugiej strony wioski stoją wrogci;  
ha! nie lękaliśmy się przemocy mnogiej — — —

Już padły pierwsze strzały; wszystkie chaty  
byłyby pewno spłonęły pożarem,  
poprzed moskiewskie wznieconym harmaty, —  
ale wódz kazał nam cofnąć się jarem  
tutaj na łąki, pożałował straty  
kobiet i dzieci; tu, pod drzewem starem  
na wzgórzu stanął, my wkoło w nieładzie,  
a tamten ręce na gęśli swej kładzie,

mówi: «O bracia! wkoło nas kurhany,  
tu leżą ojców i praojców kości,  
co to umieli bić się jak szatany,  
gdy po ojczyste wróg im sięgał włości;  
nie znali lęku, szli jak huragany  
pełni bezbrzeżnej dla kraju miłości,  
szli, a przed nimi wszystko czoła chyli,  
sami bez lęku, więc innych trwożyli; —

oni z orlemi skrzydłami u ramion,  
niby przedziwne jakieś groźne ptaki,





jak wieściciele jakichś bożych znamion,  
szli, znacząc krwawe i śmiertelne znaki,  
a duch ich trwogą nie był nigdy splamion;  
serca ich były, jak Mojżesza krzaki,  
tak gorejące miłością, tak Boga  
miłości pełne, nie znali co trwoga.

Niech się wam zdaje, że teraz przed wami  
owi rycerze z grobów swych powstali,  
szumiąc białemi swych skrzydeł piórami,  
cali stalowi, wykuci ze stali,  
słońce nad nimi, oni płoną skrami — — —  
my, ich synowie, czyż będziemy mali? — — —  
i my pójdziemy strasznej mocy pełni,  
zemst chmurą niebo nad nami się zweśni.

Ale precz trwoga, precz niewieście lęki — — —  
Wiem, że wątpienie wam w duszę się wdziera;  
ponad bezsilne niewolnicze jęki,  
niechaj się okrzyk wzniesie bohatera,  
który odrzucił precz narzędzie męki  
i dumny wielki ku niebu spoziera,  
bo wierzy w siebie, bo kocha i pragnie,  
bo wie, żaden go szatan nie nagnie — — —

Z pieśnią na ustach, z sercem pełnem wiary,  
sto ciał złączywszy w jednego olbrzyma,  
święcone niosąc przed sobą sztandary,  
idzie, i nic go w drodze nie powstrzyma — — —



Naprzód! niech trwogi rozwieją się mary,  
dla tych, co pragną, żadnych przeszkód niema —  
kto żyw, niech wstanie,  
niech otrze oczy z łez!  
wichrowe głośi granie:  
niewoli nadszedł kres» — — —

— — — — —  
— — — — —  
Nie skończył pieśni, bo wkoło tymczasem  
już się kozacy przedostali lasem.

Wszczęła się walka, trwała godzin parę,  
gęsto padały trupy, gęściej strzały; —  
już się po ziemi mroki snuły szare,  
dym strzałów wroga nam przesłonił biały,  
a jeszcze walczym, już stracił wiarę,  
resztki z nas jeno niewielkie ostały — — —  
Wódz nasz z gęślarzem szli do boju pierwsi,  
tamtemu kula głowę, temu piersi

przebiła i mnie oderwała rękę — — —  
Omdlałem, nie wiem co się potem działo,  
nie kazał Bóg mi taką znosić mękę,  
ażeby widzieć porażkę; ściemniało  
kiedym się zbudził — — — Leżę i nie jękę  
niemocą zdjęty, całe boli ciało — — —  
Po niebie idzie smok potwornej tuczy,  
wicher gna puszcza, grom ponuro huczy,



a jakieś dziwy dokoła się dzieją:  
po bojuwisku, ponad trupów stosem  
jakieś przedziwne białe widma wieją,  
i puszcza zda się człeczym gada głosem,  
tam kędyś w gąszczy szatany się śmieją,  
biednym człowieczym ucieszone losem,  
a wicher dębów konarami targa  
i jakaś straszna brzmi po lesie skarga — — —

Jakby zaświatów rozwarte podwoje  
w świat wypuściły duchów swoich roty,  
a te się suną, winą jak powoje  
i bezszmernemi w krąg szybują loty,  
krążą nad polem, kędy legli woje  
w cień bluźnierczemi pograżeni groty — — —  
tam dusze białe w niebo się unoszą,  
tam jęki rannych ptaki nocne płoszą — — —

A duchy, widma krążą; to bezgłośnie  
płaczą, to śmiechem szyderyczym wybuchną —  
Tam idzie burza, ciemność wkoło rośnie,  
tylko się kędyś blado świeci próchno — — —  
Tam wichry wyją przeciągle, żałośnie,  
groźnie, że zda się z lica ziemi zdmuchną  
wszystko, co żyje, wszystko, co się waży  
u boskich klękać nie dyablich ołtarzy —

Tam nie opodal leżał gęślarz ony,  
wkoło się duchów zebrała gromada,



jakieś rusałki, starce, dziwożony,  
wszystko to szepce, porusza się, gada — — —  
a tam z gęstwiny, od zachodniej strony,  
przyszła ku niemu jakaś dziewa błada  
w białe lilijne przystrojona wieńce — — —  
Anioły jakie — może potępieńce — — —

A tam od wioski przyszła inna pani,  
córka szlachcica, co był z nami w wojnie,  
jęki jej głuche z biednej biegły krtani,  
wkoło spojrzenia rzuca niespokojnie, —  
szukała kogoś, co był może dla niej  
wszystkiem na świecie; — a dokoła hojnie  
czernią się trupów porzucone ciała,  
a ona idzie między trupy śmiała — — —

Zdawna mówiono, że gęślarz on dziwny  
piękną był oną miłował dziewicę,  
lecz ona, nie wiem dla czego, przeciwny  
wyrok wydała — — — Dziś smutek jej lice  
piękne porzeźbił — — Tam brata trup sztywny,  
z głową przez końskie strzaskaną racice,  
leżał powalony na poprzek jej drogi,  
w krwi jego błędne umaczała nogi,

i błędzi dalej, zda się coś ją goni — — —  
może jej rozum nieszczęścia zabrały? — — —  
U nas we wiosce powiadano o niej,  
że dobra była, jako anioł biały,





że jakby świętych nimb miała na skroni,  
taką światłością lica jej jaśniały,  
i niewiadomo było tylko czemu  
serca nie dała gęślarzowi temu — — —

A oto dzisiaj pomiędzy trupami  
jego snąc szuka. — Błysk rozdarł niebiosy  
i bojowisko oblał światła skrami,  
grom zawył, puszcza tysięcznemi głosy  
echo powtarza, dziewica ze łzami  
krzyknie i biegnie, złociste rwąc włosy:  
ujrzała w mroku kochanka, co kona, —  
klęka i głowę tuli mu do łona,

i pieścotliwem woła go imieniem  
i dłonie jego pocałunkiem pieści,  
jeszcze się dusza jego białym cieniem  
w niebo nie wzbiła, dziewica w boleści  
chciałaby życie w nim obudzić tchnieniem  
ust własnych, — wszakże innej były treści  
wyroki Boże — on sądził skonanie,  
już nie pomoże modlitwa ni łkanie,

ni k'niebu z gniewem podniesione pięście  
ni łez potoki, ni rozpaczne jęki, —  
z trupem śmiertelne czeka ją zamęście,  
łzy jej dodadzą jemu tylko męki — — —  
O! nie tak straszna śmierć tam w boju chrzęście,  
jak, gdy się czuje ukochanej ręki



na swoim czole dotknięcie miłosne,  
ręki, co życia w grób układa wiosnę,

i wszystko światło, szczęście w grób układa,  
bo nie ostało nic dla niej na ziemi — — —  
Niebo gromami wyje: biada, biada!  
błyskawicami sieje Bóg złotemi — — —  
Ona się korzy, klnie — — — a dziewa blada,  
liliami strojna na skroni białemi,  
biednej wyroki znać głosi złowieszcze — — —  
Gęślarz już kona, już ostatnie dreszcze

wstrząsnęły jego ciałem; biała dziewa  
z ust jego wzięła już ostatnie tchnienie — — —  
Ona, podobna do słabego drzewa,  
co je szamota wiatr, stoi, strumienie  
ogni niebieskich świecą wkrąg i śpiewa  
bólom ogromnym wichrowe jęczenie,  
a gromy z taką snują się rozpaczą,  
jak ludzie, kiedy napróżno kołaczą

do szczęścia bramy. Dziewa biała mówi —  
wyroki Boże: «Nadejdzie dzień złoty,  
kiedy Bóg każe swemu aniołowi  
zdjąć kajdanowe z rąk człowieczych sploty,  
na jego przyjście wy bądźcie gotowi — — —  
ziszczą się wówczas słoneczne tęsknoty,  
nad ziemią słońce przejasne rozplonie  
i radość w każdym obudzi się łonie —



Znakiem nadejścia tego dnia wam będzie  
gędźba tej harfy gęślarza tajemnej; —  
kwiaty rozkwitną na życiowej grzędzie,  
słońce widnokrąg wam rozjaśni ciemny, —  
lecz nim dzień przyjdzie, nim harfa zagędzie,  
długo pierw musi leżeć tu w podziemnej,  
tajnej kryjówce, kędy wiedzie droga  
w kraje Szatana i na łąki Boga. —

Tu w tej jaskini, jako w grobie, leżą  
duchy przodowne, co pod godłem Chrysta  
szli na bój z życiem; Niebo im macierzą,  
a Życie katem było, gwiazda czysta  
była im wiarą, dziś jeszcze w nią wierzą,  
lecz życia pomroczył zasłoniła mglista  
duchom tym światło szczęścia i zbawienia  
i szli przez życie z stygmatem cierpienia.

Szli i za swoje ukochania, wiarę,  
za świata krzywdę i za świata grzechy  
nieśli swe życie, szczęście na ofiarę,  
jęków ich ziemia nie chwyciła echy,  
do dna bez skargi wychylali czarę, —  
dzisiaj czekają tu rychłol' pociechy  
godzina przyjdzie, dzień tak upragniony,  
gdy zmartwychwstaną i świat spromieniony

obaczą szczęściem — Czekają, a co dnia,  
w noc ciemną ziemia grobu się otwiera,



nowego brata witają przychodnia,  
nowego tęsknot złotych bohatera — — —  
A ponad światem wciąż panuje Zbrodnia. —  
Ale nadejdzie nowych zdarzeń era,  
nadejdzie jasna zmartwychwstań godzina  
dla bohaterskich sług Bożego Syna. —

Ucisz jęk głośny, oto twój kochanek  
pośród wybranych tam zasiędzie grona,  
on był przodowny, pośród życia szranek  
padł z bólem wielkim wżartym w głębie Iona; —  
z liści dębowych uwiń jemu wianek — — —  
Pójdiesz w grób za nim, aż gęśl rozdzwięczona  
w pieśni się cała nie rozbrzmi stugłośniej,  
aż nie nadejdzie dzień szczęścia radosny,

ty w grobie razem z temi, co posnęli  
miłowanemi Zbawiciela syny  
będziesz czekała, aż ci anieli  
zwiastują przyjscie zmartwychwstań godziny;  
wtedy wystąpisz w jaśni, duch się wcieli  
twój w harfę śpiewną, w ręce ją dziewczyny  
oddasz niewinnej; mąż, co ją posiędzie,  
z harfy pieśń wielką przeświątą dobędzie,

a pieśń ta będzie zmartwychwstania znakiem». —  
Wtem się rozpęknie ziemia, światłość sina  
po ziemi długim się rozściela szlakiem,  
tam krzyż się jawi z widmem Boga-Syna — —





a tam za białym srebrnołśniącym ptakiem  
idzie skrzydlatych rycerzów drużyna,  
jaśni odkupień, wybawienia woje  
idą i w grobu wstępują podwoje — — —

Ucichły gromy i wichru pieśń dzika,  
puszcza echami głuchemi nie jęczy,  
a przestrzeń cicha wypełnia muzyka  
jakby śpiewały blaski barwnej tęczy,  
jakby pieśń biegła z srebrnego promyka,  
co skroń bolesną Chrystusową wieńczy;  
a woje idą białe, jako śniegi,  
idą promienne, jaśniające szeregi;

wszystkich pochłania ziemi paszcz otwarta,  
wszyscy tam idą na sen spocząć długi,  
jako przeznaczeń im kazała karta,  
aż dzień nadejdzie, kiedy światła smugi  
obleją ziemię, Krzywda z ziemi starta  
precz z niej ustąpi, a Miłości sługi  
gędbę usłyszą, co gra zmartwychwstanie  
i wstaną objąć nad Ziemią władanie — — —

A w ślad za nimi kroczył duch gęslarza,  
a przy nim jego nieszczęsna kochanka,  
do grobu szła z nim, miasto do ołtarza,  
w koronie z cierni, miast ślubnego wianka  
wroczone słowa bezdźwięcznie powtarza,



idzie w grób, idzie niebiańska wybranka  
strzec gęśli pieśnią nim zabrzmią po świetle —

— — — — —

Zmęczony opowieścią długą, starzec głowę pochylił, na dłoni ją oparł, w oczach mu łzy dwie zaświeciły wielkie, nad dolą swoją i narodu swego płacze, nad tem, że dzień upragniony nie nadeszedł jeszcze; przysłonił powiekami oczy — — —

DZIEWCZYNA zwraca się ku niemu, jakby dalszy ciąg opowieści słyszeć chciała

Zmęczonyś dziadu? — — —

STARZEC

Usnę trochę dziecię — — —

Usypia; marzą mu się dawno minione, widziane i przeżyte dzieje, rycerze biali, co z grobu wyjść mają — i śni, że idzie z rycerzami razem, że dusza jego za nimi ku gwiazdom złotym szczęśliwości szybuje, przed Boga tronem stawą, zmartwychwstania przyjście widzi. — A czoło i twarz siną mu się bladeścią powleka, nawet czerwone promienie zachodzącego słońca, co na nią upadły, ożyć jej nie mogą; ciało stygnie, dusza za rycerzami w niebo szybuje, posłannictwo skończone —

DZIEWCZYNA w rozmarzeniu wokoło modremi pogląda oczyma to na słońce, konające za lasem w krwawej purpurze, to na srebrne, gdziegdzie miedzi połyskami błyszczące strumyka fale, wreszcie spoczęły jej oczy na dębie starym, rosnącym na szczycie kurhanu tajemnego, blaskami słońca dąb się rozplomienia —

Dziadzio usnęli. Dziwne prawil baśnie,  
chciałabym kiedy widzieć takie dziwy —  
Lęk mię przejmuje. Słońce krwawo gaśnie —



Oj dziadu, dziadu, jaki wy szczęśliwy,  
żeście widzieli zaświatowe jaśnie, —  
żebym ja mogła w swoim życiu kiedy  
obaczyć takie cuda, takie dziwy — — —  
Tam śpią rycerze, co świat cały z biedy  
chcieli podźwignąć, zbawić od niedoli,  
padli nieszczęśni, przemoc ich złamała,  
jeno ich teraz rana w piersi boli — — —  
A przyjdzie, mówią, jako anioł biała  
dziewczyna — — — Boże, Boże mój, dlaczego  
oni musieli skonać, ci rycerze? — — —  
A tam czekają dnia upragnionego,  
dnia zmartwychwstania; o, przyjdzie on, wierzę—  
«A w rękę męża, co dziewczę posiedzie  
gęśl przecudowną pieśnią znów zagędzie» — — —  
pieśń się rozleje echami po lesie  
i wieść radosną dokoła rozniesie  
wieść, że dzień idzie, dzień oczekiwany,  
że świat się budzi, że słońcem obłany  
odtąd żyć będzie — — —  
och kiedyż zagędzie,  
taka cudowna pieśń?  
ucichną skargi, ucichną jęki,  
jeno wesołe rozbrzmieją piosenki — — —  
Gdybym że mogła ja słyszeć te dźwięki! — —

Wypełni piersi cieśń  
radosny odblask szczęść,



ucichnie krwawy bój,  
opadnie gniewna pięść,  
popłynie światła zdroj,  
sto słońc zaświeci wkrąg,  
nastanie koniec mąk,  
precz zniknie mrok i cień,  
zaświeci wieczny dzień,  
ucichnie dziki bronni szczęk,  
anielskich chórów zabrzmie śpiew — — —  
o! gdybym ja mogła usłyszeć ten dźwięk,  
usłyszeć ten śpiew — — —

Dąb się dziwną jaśnią rozświetla, blaski sieje mistyczne wokół,  
a u jego stóp, stoi DZIEWICA ona zaklęta, wokół niej światłość,  
oczy blaskiem płoną —

#### DZIEWCZĘ

Boże, ach! co to? to ona, to ona!  
Jaśnią dziwną oblana  
Harfę tuli do łona — — —  
— — — — — — — — —

#### DZIEWICA

Dziewczę, ugnij kolana!  
Ja, od Boga zesłana,  
Boże niosęć rozkazy:  
weź tę harfę, jej struny  
przedziwnymi brzmiały runy, —  
dziś milczy harfa święta — — —





W rękę męża, co ciebie posiędzie,  
to cudowne orędzie  
pieśnią dziwną zagędzie — — —  
duchy klęte rozpęta,  
duszą natchnie i głązy  
i rozebrzmi echami po świecie — — —  
Tyś od Pana,  
od Boga wybrana,  
święte gęśle weź dziecię — — —

Dziewica znika, jeno gęśle tajemne, promienne, srebrnym blaskiem  
jaśniające, leżą u stóp dębu. — Dziewczę ogląda się chwilę dokoła  
trwożliwie, potem chwyta gęśle, okrywa je troskliwie chustą, tuli  
do piersi i szybko ucieka w gąszcz leśną — — — — —  
-----





## SPIS RZECZY.



Część pierwsza — Z księgi wyroków . . . . .	3
Część druga — Duch . . . . .	13
Część trzecia — Śmierć . . . . .	29
Część czwarta — Legenda . . . . .	57



INSTYTUT  
**BADAŃ LITERACKICH PAN**  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa  
**Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42**

---

NAKŁADEM AUTORA.

















K  
2098